

## Przełom listopada i grudnia

Brystol z hasłem „I-szy ćpun RP” zwija się w moich oczach w ciskaną w Narutowicza grudę śniegu.

Koniec listopada, wiadomo: mgły, ziąb, odcień nieba, który uprzejmię można by określić jako „perłowy”, gdyby nie sypał lodowatym deszczem. Listopad niebezpieczna pora – i raz szarpnięta wstążka cytatu pozwala, jak po uruchomieniu zegara kurantowego, dopowiedzieć sobie natychmiast resztę „Nocy listopadowej”: granatowe kurtki mundurowe z żółtymi wyłogami, pętlice i akselbanty; młody Jerzy Stuhr w swojej życiowej roli Wysockiego, tulski karabinek skałkowy ze sztykiem, Nike Napoleonidów i Anna Dymna jako Kora. „Z lewej księżycy zieleń wpada przez okna ścianę szklaną; / pośrodku brama, nad tą bramą chorągwi czworo w pęk złożono”. I znów wyciory, piki, szpady oficerskie, temblaki, tornistry, lance i kule armatnie, i Nike spod Cheronei, i muzyka Koniecznego, aż kłująca w skroniach.

Stuhr i Dymna, Konieczny i kamera nie wyrabiająca się na zakrętach w korytarzach Podchorążówki to kwestia jednej inscenizacji. A reszta – te są, używając staroświeckiej frazy, nasze panoplia narodowe, odtwarzane później pracowicie w sztukateriach na ścianach pałacików i pomników: karabinki i szable, piki i bębny, stożki kul i skrzyżowane lance z wąskim jak krawat proporczykiem.

Patrząc w kalendarz i na ulice – i dodałbym do dumnych lanc koło lub może ławeczkę z powozu, którym 11 grudnia 1922 roku jechał *szlakiem Podchorążych* – z willi w Łazienkach niemal prosto na północ, Alejami Ujazdowskimi – prezydent Rzeczypospolitej Gabriel Narutowicz w towarzystwie szefa protokołu dyplomatycznego w MSZ, Stefana Przeździeckiego. Dodałbym, chociaż chyba nic z tego: nie ma żadnych zdjęć powozu, wiemy tylko, że był „otwarty” i zapewne czarny. Zachowane z tego dnia fotografie przedstawiają sytuację o godzinę późniejszą: Narutowicz w półcyfryndrze wychodzi bocznymi drzwiami z Sejmu po zaprzysiężeniu, grupa urzędników unosi z szacunkiem kapelusze i meloniki. A przecież przydałoby się to koło lub ławeczka do panoplium odwagi – ławeczka, z której Narutowicz wstał i „aby okazać, że nie boi się chuliganów, jechał na stojąco”. Tłum w Alejach rzucał, jak wiemy, „kamieniami, kijami, bryłami śniegu i lodu”. Kilka z nich trafiło prezydenta w twarz.

**Przeczytaj również: Ku śmierci prezydenta. Klimat polityczny jesienią 1922 r. – Michał Przeperski**

Zamarzyło mi się to uzupełnienie panoplium, gdy patrzyłem na zdjęcia z niedzielnej demonstracji pod Belwederem, zgłoszonej formalnie przez zupełnie dotąd nieznaną fundację, a nagłośnionej przez znaną aktorkę, Joannę Szczepkowską. Na jednym z nich mężczyzna o stanowczej twarzy dumnie trzyma brytol z napisem „I-szy ćpun RP – wstyd”. Na innym aktorka stoi na tle kartonu z literami „Rozliczyć zero do zera” (w słowie „zero” nie ma samogłoski „i”, nie da się więc postawić nad nim kropki; a przecież chciałoby się spytać, do jakiego konkretnie zera chciałby rozliczać manifestant? Zera oddechów na minutę? Zerowego ciśnienia tętniczego w naczyniach obwodowych?). W dzień później zaś portal NaTemat, zachłystując się ze szczęścia

niczym bułhakowowski Timofiej Kwascow, „który opowiadał innym lokatorom, jak nakryto prezesa”, ogłasza triumfalnie w tytule „Nawrococy wybuczani w... Teatrze Wielkim”.

Oczywiście – demonstracje w miejscach publicznych, wolne od przemocy, to przecież sól demokracji. „Wybuczenie” zdarza się nieraz i aktorom – choć może niekoniecznie na hiperuroczystej gali z okazji 200-lecia Teatru Wielkiego. Być może przesadzam, i niejeden znajomy, z którym podzieliłem się uczuciem zgrozy, sięgał już to po *whataboutism*, przywołując bluzgi padające pod adresem polityków obozu rządzącego, już to po kronikarstwo współczesne, przypominając „spaloną kukłę Wałęsy” i fruujące w stronę Aleksandra Kwaśniewskiego jajka.

Więc może przesadzam. A może nie: rzucanie jajek, a nawet palenie kukły, choć sam zapalniczki bym do tej ostatniej nie przyłożył, wydają się być częścią pewnego *theatrum* politycznego: trochę staroświeckiego i o zabarwieniu, można rzec, latynoskim czy wręcz iberyjskim, w Polsce egzotycznego, a wszędzie – w złym guście.

Czym innym jest konsekwentne, monotonne, trwające już od pół roku posługiwanie się przez tysiące osób jednymi z najcięższych epitetów, jakimi są „ćpun” i „alfons”, w stosunku do głowy państwa (oczywiście, istnieje wiele określeń bardziej drastycznych, skatologia polska ma się dobrze; odnoszą się one jednak z reguły do przywar ciała, a nie całkowitego upadku osoby). Czym innym jest też murmurando tłumu w uroczystości stosunkowo błahej z punktu widzenia racji stanu (200-lecie teatru), ale właśnie dlatego wyłączonej dotąd z przestrzeni

konfliktu politycznego, służącej, prócz wysokich celów kulturalnych, prezentowaniu kreacji oraz implantów (zębowych), celebrowaniu uprzejmości i samozachwytu.

I nie, nie chodzi mi o *hubris* aktorki, która w swoich poczytnych wpisach stawia warunki prezydentowi RP, zapowiadając, że uzna go, jeśli ten – to dosłowny cytat, naprawdę! – „nominuje wyznaczone młode siły do Służb Bezpieczeństwa”. Ani nawet nie o reagowanie przez ministrów na wszelkie posunięcia prezydenta z prędkością, która wystawiałaby im chlubne świadectwo jako pingpongistom. Ani o sugestie unieważnienia wyboru głowy państwa, padające w sytuacji strategicznej określanej przez analityków NATO jako „faza zero”.

**Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego**

Nie. Myślę o manifestantach, którzy dumnie fotografują się z płachtą brystolu, określają głowę państwa mianem „ćpuna”. I nie dostrzegają – ani oni, ani buczący w przyciemnionych łóżach celebryci – żadnego *iunctim* między zachowaniem swoim a tłumem, wyjącego o „zawadzie” i „żydowskim elekcie”, schylającego się po grudy dobrze zmrożonego śniegu i końskiego łajna. I można wątpić, jak zareagowaliby na słowa „sytuacja jest dla mnie bardzo przykra, gdyż nie chodzi mi o moją osobę, nie mogę jednak dopuścić do poniżenia godności Rzeczypospolitej” – słowa wygłoszone przez ówczesnego prezydenta RP przed stu trzema laty.

Ja dostrzegam to *iunctim*. I chociaż wiem, że gdyby w naszych cyfrowych czasach funkcjonowały jeszcze usługi typu „zegarynka”, można by odtwarzać przestrogi Kassandry po wybraniu numeru, tak

popularna jest to narracja – notuję, na przełomie listopada i grudnia: w murmurando celebrytek w garsonkach słyszę huk, biały brystol z hasłem „I-szy ćpun RP” zwija się w moich oczach w ciskaną w Narutowicza grudę śniegu.

*Wojciech Stanisławski*

**Przeczytaj również: inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”**